



RADEK MICHALSKI

redaktor wydania

I jesteśmy w nowym roku. A z numerem „wylądowaliśmy” akurat na Trzech Króli. Choć za mędrców, a już tym bardziej magów czy królów trudno nam się uważać, to o tym, co w szopkach wrocławskich zobaczyliśmy, chcemy Wam, Drodzy Czytelnicy, opowiedzieć. Przedstawimy też współczesnych mędrców, którzy łączą pracę dydaktyczną z posługą w Kościele. Jak łączyć życie wiarą i nauką, czy pomagają sobie nawzajem, czy może wręcz przeciwnie? (zobacz str. IV–V). A nowy rok to także czas postanowień – co chcemy w nas zmienić, co osiągnąć, czego uniknąć. Czasami z przerwaniem patrzymy na nasze plany, bo wydają nam się takie „na wyrost”. A wyzwani nie należy się bać. Mówi o tym historia druha Bolka, ale... może niech sam ją Wam opowie (str. VI–VII). ■

Poświęcenie kościoła pw. św. Jana Apostoła na wrocławskim Zakrzowie

Najważniejsza świątynia

W roku 20-lecia istnienia parafii św. Jana Apostoła i w dniu święta jej patrona, 27 grudnia, abp Marian Gołębiowski poświęcił przebudowaną i powiększoną świątynię.

W homilii metropolita wrocławski przypomniał historię świątyni jerozolimskiej, przestrzegając przy tym przed zbytnim przywiązaniem się do materialnej świątyni.

– Najpiękniejsze katedry Europy, paryska Notre Dame, kolońska, watykańskie bazyliki czy nawet katedra wrocławska kiedyś przestaną istnieć – podkreślał arcybiskup. – Naruszy je ząb czasu, a przyjdzie przecież koniec czasów, kiedy wszystko zostanie odnowione w Chrystusie. Przetrwają jedynie świątynia, która jest w naszych sercach. O budowanie także takiego kościoła w wiernych muszą zabiegać duszpasterze, ponieważ „każdy z nas jest świątynią Bożą, której fun-



KS. TOMASZ CHOJŃSKI

damentem jest zawsze Chrystus”.

Witając Arcybiskupa, parafianie podkreślali wkład całej wspólnoty w przebudowę parafialnego kościoła, zarówno przez pracę fizyczną, jak i przez ofiary materialne. Zaznaczali też, że wraz z nimi pracował proboszcz ks. Wiesław Karaś, nadzorując całość projektu.

Abp Marian Gołębiowski podczas uroczystości w kościele św. Jana Apostoła

Poświęcenie parafialnej świątyni zbiegło się z obchodami 25-lecia kapłaństwa jej obecnego proboszcza, stąd oprócz licznie zgromadzonych parafian, księży z dekanatu Wrocław Psie Pole oraz poprzedniego opiekuna tej parafialnej wspólnoty ks. Janusza Czarnego w liturgii uczestniczyli także kursowi koledzy ks. W. Karasia.

RADEK MICHALSKI

PRZYBIEŻELI DO... WROCLAWSKIEGO BETLEJEM



RADEK MICHALSKI

Na wrocławskim rynku, dzięki Akcji Katolickiej, po raz kolejny stanęło „Wrocławskie Betlejem”. Od niedzieli 23 grudnia scena przy żywej szopce w samym sercu stolicy Dolnego Śląska zachęcała do kolędowania. A spróbować mogli wszyscy, bo, niezależnie od zespołów na niej występujących, usłyszeć można było znane melodie. A w przedwigilijne popołudnie to przy szopce właśnie wrocławianie mogli złożyć sobie życzenia – wraz z arcybiskupem Marianem Gołębiowskim i przedstawicielami władz państwowych i samorządowych. Kolędowe „obleżenie” trwało do 26 grudnia, a samą szopkę można było podziwiać jeszcze dzień dłużej. ■

Do szopki na wrocławskim Rynku Trzej Królowie zajęli jeszcze przed Wigilią

Więcej o żywych szopkach na stronie III.



BARBARA RAK

„Rekinki” dały popis umiejętności wokalnych

Śpiew dający ukojenie

ZIĘBICE. W drugim dniu świąt Bożego Narodzenia w sali widowiskowej Ziębickiego Centrum Kultury odbył się koncert kolęd, podczas którego wykonawcy z Dziecięcego Studia Wokalnego „Rekinki” promowali nagraną 9 grudnia płytę. Pomysł na nagranie zrodził się u instruktorów – Katarzyny Kolegi i Roberta Perłowskiego. Szybko znaleźli się sponsorzy gotowi pomóc małym artystom: Starostwo Powiatowe w Ząbkowicach Śląskich i Urząd Miejski w Ziębicach. Dzieci, z których najmłodsze mają po 6 lat, w ciągu półtora miesiąca opanowały wykonanie w

trzech głosach kilkunastu kolęd w nowoczesnych aranżacjach.

Niespodzianką dla małych wykonawców była informacja, że wykonywane przez nich kolędy zostały przesłane na wyspy karaibskie do misjonarza wywodzącego się z Ziębic – ojca Jana Pastuszczaka. Skierował on za pośrednictwem Internetu list: „W promieniach karaibskiego słońca, w cieniu palmy poruszanej tropikalnym wiatrem, w ciszy rozgwieżdżonej nocy nie ma tyle ukojenia i radości, ile w śpiewie dzieci wielbiących Boga polskimi kolędami”.

Do szopy, hej, pasterze!

WIGAŃCICE. Niezwykła świąteczna dekoracja wiejskiego kościoła nikogo, kto choć raz odwiedził tę parafię i zna tamtejszego proboszcza, nie powinna zdziwić. Ksiądz Wiesław Wójcik TChr przygotował w tym roku dla parafian i gości niezwykłą szopkę betlejemską. Niezwykłą, bo... stał się nią cały kościół.

Intensywny zapach siana po przekroczeniu progu świątyni nie pozostawia złudzeń – trafiliśmy do małego Betlejem. Po nogami szleszczą żdźbła suchej trawy, zamiast ołtarza – żłóbek z maleń-

kim Dzieciątkiem, otulonym kołderką z karteczek, na których dzieci z wigańcickiej parafii przez cały Adwent spisywały swoje dobre uczynki. Tabernakulum możemy zobaczyć przez otwarte drzwi – symbolizujące serca otwierane na Jezusa.

– Nie każdy z naszej wspólnoty przeżył Boże Narodzenie – mówi ks. Wiesław Wójcik. – Niektórzy wciąż tkwią w Adwencie i wciąż oczekują narodzin Pana. Stąd drzwi nie są otwarte na oścież, a lekko przymknięte.

Tuż przy żłobku stoi snopek ze zbożem, garnki gliniane i kamionkowe. Ciekawym i ważnym elementem uzupełniającym dekorację kościoła jest drewniane okno – ekran, który otacza miejsce, z którego głoszona jest homilia oraz czytane Słowo Boże. – To taki symbol naszych czasów – ekran – dodaje proboszcz. – Wpatrzeni całe dnie w telewizyjne okienka, zapominamy o drugim człowieku, o tym, że ktoś tuż obok może nas potrzebować.



BARBARA RAK

Połamać się opłatkiem

WROCŁAW. Wciąż jeszcze jesteśmy w czasie spotkań opłatkowych, jednak te dla ubogich i bezdomnych odbyły się w przeddzień i w samym dniu Wigilii. W parafii pw. św. Elżbiety przy ul. Grabiszyńskiej wydający wigilijny posiłek byli przygotowani na blisko 400 osób. – Zapisało się 330 osób – mówił w dniu Wigilii jeden z pracowników stołówki prowadzonej przy parafii ks. Franciszka Głoda – jednak jesteśmy przygotowani na 60 porcji więcej.

– Poczujcie się tutaj jak w domu – mówił z kolei do bezdomnych i samotnych podczas przygotowanej dla nich przez wrocławską Caritas wigilii abp Marian Gołębiowski. Przy największym we Wrocławiu stole wigilijnym, w auli Papieskiego

Wydziału Teologicznego, zasiadło 300 osób. W całej archidiecezji, na wigiliach organizowanych przez Caritas, było ich około 1000.



RADEK MICHAŁSKI

Zanim usiedli do stołu w parafii św. Elżbiety, wigilijni goście łamali się opłatkiem ze swoim duszpasterzem

„Człowiek na wygnaniu”

WROCŁAW. Nigdy tak bardzo wyraźnie jak w czasie świąt nie widać, że katedra to kościół biskupa diecezjalnego i parafia wszystkich parafii. Także w tym roku, mimo oblodzenia i mrozu, katedralne uroczystości pod przewodnictwem abp. Mariana Gołębiowskiego zgromadziły wielu wiernych naszej archidiecezji. – Dzisiaj o narodzeniu Chrystusa wiedzą miliony ludzi na kuli ziemskiej. Lecz mimo to trwa ciemność. Czasami nawet wydaje się, że jeszcze większa niż wtedy – powiedział abp M. Gołębiowski podczas pasterkowej homilii. Nawiązując do odnoszącego się do Jezusa tytułu Księżę Pokoju, stwierdził: – Wpatrując się w żłóbek betlejemski, pytamy samych siebie: gdzie jest ten pokój? Tego pokoju tak bardzo potrzeba w rodzinnej ziemi naszego Zbawiciela, w Afryce i wielu innych krajach i zakątkach świata. Dlaczego go nie ma? Bo chcemy go zbudować bez Boga, kierując się tylko ludzkim prawem i naszą przebiegłością, którą nazywamy dyplomacją, eliminując zasady etyczne z traktatów i umów międzynarodowych.

Metropolita wrocławski nazwał dzisiejszą sytuację czasami „Boga na wygnaniu”. – Po wal-



KS. ANDRZEJ JERIE

Szopka w archikatedrze wrocławskiej

czącym ateizmie przyszła objętność i pogarda wobec Boga. Żyjemy wielką iluzją nowoczesności. W ocenie arcybiskupa M. Gołębiowskiego, dzisiejszej potrzebie nowoczesności brakuje głębi; „ten niby nowoczesny człowiek XXI wieku jest zabobonny, wierzy w horoskopy, w UFO, kupuje sobie marzenia u najróżniejszych szarlatanów”, tymczasem „to nie Bóg jest na wygnaniu, ale dzisiejszy człowiek wyalienował się ze świata religii i sfery sacrum i w ten sposób znalazł się na wygnaniu”. Podsumowując, metropolita wrocławski stwierdził, że to właśnie wydarzenie Nocy Betlejemskiej jest najpełniejszą odpowiedzią na pytanie, czy chrześcijaństwo przetrwa. Miłość Boga do człowieka będzie dla człowieka zawsze czymś nowym i fascynującym.



RADEK MICHALSKI

Żywa szopka na Wittigowie stoi najdłużej

Trzej królowie na wielbłądach

W aż czterech szopkach zagościły żywe zwierzęta z wrocławskiego Ogrodu Zoologicznego.

W tej przy parafii pw. Matki Bożej Pocieszenia na wrocławskim Wittigowie, jak co roku, 6 stycznia będziemy mogli spotkać trzech króli wjeżdżających na wielbłądach.

To także najdłużej jest eksponowana żywa szopka we Wrocławiu. Pozostałe trzy znajdowały się na wrocławskim Rynku, pod Halą Stulecia i u franciszkanów na wrocławskich Karłowicach. Szopki pod Halą i w Rynku zdemontowano tuż po świętach. Franciszkańska żywa szopka była otwarta w Wigilię.

„Królowie” na wielbłądach wjadą przed szopkę przy parafii pw. Matki Bożej Pocieszenia we Wrocławiu, 6 stycznia o godz. 11.30

– Przyciągnęły mnie tu dzieci – mówi Marek Krzysztofowicz, który na wrocławskim rynku z sześciolatnim Kubą i ośmioletnią Agatą kołędował przy szopce. – Uparły się, że chcą zobaczyć choinkę i zwierzęta przy szopce – dodaje. Na Rynek przyjechali aż z Partynic, ale wypad do centrum połączyli z przedświątecznymi zakupami. **RADEK MICHALSKI**

Odeszła nagle

Na święta do nieba

Znana dobrze klerikom pierwszego roku i uczniom katolickiego liceum w Henrykowie, zawsze uśmiechnięta i pogodna s. Adela Płotka, elżbietanka, zmarła w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia.

Urodziła się na Kaszubach w 1936 r. W ciągu długich lat życia zakonnego pełniła m.in. funkcje katechetki, przełożonej różnych placówek elżbietańskich – m.in. przedszkola przy ul. Januszowickiej we Wrocławiu. Od kilku lat pracowała w domu zakonnym w



KUBA LUKOWSKI

Henrykowie. W pamięci tych, którzy ją znali, zapisała się jako osoba energiczna i zaradna, a zarazem bardzo skromna. –

Cicha i zrównoważona, przyjmująca życie takim, jakie jest, z jego radościami i smutkami – mówi ks. Waldemar Kocenda, ojciec duchowny w henrykowskim seminarium. – Była niezwykle pogodna. Chętnie śpiewała; pamiętam, jak kiedyś w czasie wigilii... tańczyła polkę. – Lubiła świątecznego karpia – wspomina z uśmiechem s. Sebastiana. – A dla kleryków była jak dobra babcia.

S. Adela została pochowana na cmentarzu przy ul. Bujwida we Wrocławiu.

AC

KKK 142–158

SKOK WIARY

„Czy jestem człowiekiem wierzącym? To chyba oczywiste. Naturalnie, że jestem wierzący! Przecież przyszedłem do kościoła, jestem na Mszy św., przystępuję do sakramentów... jednym słowem – wierzę w Boga! Kiedy zmienię jednak postawione pytanie i zastanowię się, „czy wierzę Bogu?”, sprawa zaczyna wyglądać zupełnie inaczej.

Katechizm Kościoła Katolickiego mówi o wierze jako odpowiedzi człowieka na zaproszenie Boga do wspólnoty – do dzieleńia z Nim całego życia i tłumaczy, że chodzi o poddanie Bogu rozumu i woli. Więcej, tekst Katechizmu mówi o całkowitym poddaniu rozumu i woli. Te słowa to zaproszenie do uznania za prawdziwe i dobre tego, co Bóg do nas mówi. W czasach, w których żyjemy, często słyszymy, że „każdy ma swoją prawdę”. „Wierzyć w Boga” i „wierzyć Bogu” to nie tylko uznać prawdę kierowaną do mnie za „jedną z moich prawd”, ale „poddać się w sposób wolny usłyszanemu słowu, ponieważ jego prawda została zagwarantowana przez Boga, który jest samą prawdą”. Czy jednak słowa „całkowite poddanie” nie budzą w nas podświadomego lęku? Czy nie boimy się, że całkowite zaufanie Bogu wymagać będzie od nas heroizmu, na jaki nas nie stać, i może pozbawić nas wolności, radości życia i możliwości osiągnięcia prawdziwego szczęścia? Z pomocą w tych wątpliwościach przychodzi nam postać Abrahama, którą Katechizm podaje jako wzór wiary. To człowiek z krwi i kości. Przeżywa rozterki, kryzysy, zabezpiecza się nawet na wypadek, gdyby Boża pomoc nie wystarczyła. Jednak to właśnie on został nazwany „Ojcem wszystkich wierzących”.

Oprac.
KS. ANDRZEJ JERIE



Do Betlejem za gwiazdą
przyszli Mędrcy
ze Wschodu.
Gdyby Syn Boży
stał się człowiekiem
20 wieków później, pewnie
prowadziłaby ich nie
gwiazda, ale odbiornik GPS
i nikt nie mówiłby
o nich mędrcy,
tylko... naukowcy.

tekst

**KS. ANDRZEJ JERIE,
AGATA COMBIK,
ANNA GRZELAK**

W mieszkaniu państwa Łukaszewiczów Mędrców zmierzających do żłóbka jest co najmniej... dziewięciu. Widać ich przy dwóch szopkach zrobionych własnoręcznie przez wnuczkę Basię oraz na kolorowym obrazie zakopiańskiego artysty, Zdzisława Walczaka. – Ten obraz wisiał kiedyś w Instytucie Matematyki UW – tłumaczy pani Danuta Łukaszewicz. – Mąż umieścił go tam właśnie ze względu na Mędrców – uczonych, którzy znaleźli Jezusa...

Matematyka i Dzieciątko

Prof. Józef Łukaszewicz – wybitny matematyk, w roku akademickim 1981/82 rektor Uniwersytetu Wrocławskiego – też mógłby zaliczyć się do ich grona. Jeden z założycieli wrocławskiego KIK-u, „zapalony” pielgrzym, organizator i uczestnik niezliczonych działań na rzecz wspólnoty kościelnej, wraz z żoną do dziś bierze udział m.in. w prowadzeniu „Dialogów Matżeńskich”. Od kilkunastu już lat pełni posługę nadzwyczajnego szafarza

Komunii św. Pytany, czy trudno jest funkcjonować w środowisku naukowym, a zarazem być zaangażowanym w życie Kościoła i otwarcie przyznawać się do swej wiary, odpowiada bez wahania: – Nie, nie jest trudno. Jeśli jest się rzeczywiście człowiekiem wierzącym, postawa taka jest czymś naturalnym. Dla mnie było to zawsze oczywiste. Pochodzę z głęboko wierzącej rodziny. Uczęszczałem w Wilnie do szkoły prowadzonej przez jezuitów, zetknąłem się wcześniej z kultem Miłosierdzia Bożego. Wiara była dla mnie źródłem nadziei w czasie trudnych przeżyć wojennych. Rozpocząłem studia jako dorosły, ukształtowany człowiek. Nie przemawiała do mnie ateistyczna propaganda. Pamiętam dyskusje z ludźmi myślącymi inaczej, kiedy – z pewną dozą młodzieńczej fanfaronady – dowodziłem im, że nie mają racji. Wyznawane przeze mnie poglądy nie przekreśliły mojej kariery naukowej, choć były powodem opóźnienia o kilka lat nominacji, awansów. Nie przywiązywałem do tego wagi.

Dla Profesora zawsze było oczywiste, że wiara i rozum nie są w żaden sposób sprzeczne ze sobą. Fascynacja matematyką pomagała mu wręcz w otwarciu się na rzeczywistość duchową. – Matematyka to nauka bardzo abstrakcyjna. Są w niej pojęcia (np. pojęcie nieskończoności), które wykraczają poza nasze wyobrażenia, uczą wyjścia poza to, co widzimy.

**Profesor
J. Oszmiański
zaczyna dzień
od służby przy
ołtarzu**

Przykładowo – jesteśmy przyzwyczajeni do świata trójwymiarowego, a w matematyce można myśleć o dowolnej liczbie wymiarów...

Mówiąc o ludziach nauki, prof. J. Łukaszewicz wspomina m.in. swe kontakty z radzieckimi matematykami. – Pozwoliły mi one doświadczyć, jak pod przykrywką ateizmu tli się często tęsknota za Bogiem. Pamiętam pewien zjazd matematyków w małej miejscowości pod Moskwą. W ramach wolnego czasu mieliśmy wysłuchać koncertu. Spośród zaproponowanych nam utworów większość osób wybrała operę „Jezus Christ Super Star”. Radzieccy naukowcy słuchali jej w wielkim skupieniu, a potem, w drodze do hotelu, prosili mnie o wyjaśnienie, kim był Jezus, Apostołowie, o co w tej całej historii chodziło... Mimo ateistycznej indoktrynacji byli bardzo spragnieni religijnej wiedzy.

Profesor przyznaje, że czasem z podziwem patrzy na wi-

Przedstawiciele trzech generacji

Znaleźli

zę prostych ludzi – choćby znajomego gazdy z Małego Cichego. A jednak „gazdowe” spojrzenie na niektóre sprawy nie zawsze mu wystarcza. Widać każdy musi iść do żłóbka swoją własną drogą...

Reszta jest dopelnieniem

Z prof. Janem Oszmiańskim spotykamy się po porannej Mszy św. w parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa we Wrocławiu. Rytm dnia, którym żyje, znacznie odbiega od stereotypu naukowca, którego posądzilibyśmy raczej o kończenie pracy o świcie niż o wczesne wstawanie. – Staram się zawsze zaczynać dzień od Mszy św. Zwyczaj o 7.30 – mówi prof. Oszmiański. – Potem w drodze do pracy odmawiam Różaniec. Jeszcze od czasów Duszpasterstwa Akademickiego u ks. Zienkiewicza jestem w kole różańcowym.

O tym niezwykle skromnym pracowniku naukowym Uniwersytetu Przyrodniczego zrobiło się głośno po ogłoszeniu wyników badań nad przeciwrakowymi właściwościami soków jabłkowych. Jak na odkrycie naukowe przystało, okazało się niezwykle proste – najlepsze są soki mętne! Zawierają substancje wiążące „wolne rodniki”, obwiniane o ponad 60 proc. chorób cywilizacyjnych, mają włas-



ANDRZEJ JERIE

ludzi nauki opowiadają o swojej codzienności z Chrystusem

...niosą Jezusa



AGATA COPIBK

ciwości przeciwrakowe i przeciwtleniające. Rozdzwoniły się telefony od dziennikarzy z całego świata, a laboratorium przez kilka tygodni było oblegane przez ekipy telewizyjne.

– Staram się w mojej pracy badawczej zająć takimi tematami, które służyłyby ludziom – komentuje swoje osiągnięcia prof. J. Oszmiański. – Chodzi mi o to, żeby zapobiegać chorobom cywilizacyjnym takim, jak cukrzyca, choroby serca, rak, a one w 50 proc. zależą od sposobu odżywiania się. Teraz firmy, które produkują soki, zainteresowały się moją osobą i jako konsultant doradzam, jak należy je produkować, żeby nie zmarnować tego, co Pan Bóg dla człowieka stworzył, bo

Mędrcy z obrazu ludowego artysty towarzyszyli prof. Józefowi Łukaszewiczowi w matematycznych zmaganiach

często przetwarzając, dużo niszczyliśmy. Jednak profesor, mimo że według rankingu Cambridge International Biographical Centre jest w gronie 100 najlepszych naukowców na świecie, niechętnie mówi o swoich osiągnięciach naukowych: – Moją największą radością jest to, że jestem nadzwyczajnym szafarzem Komunii św. Obecność w klinice, wśród chorych, którym noszę Najświętszy Sakrament, daje mi bardzo dużo. To są cotygodniowe rekolekcje, które ustawiają moją pracę i moje myślenie w kierunku tego, co w życiu najważniejsze. Kiedy widzę ludzi, którzy ocierają łzy na widok Komunii św., wtedy dociera do mnie, czym jest wiara. Dla mnie jest radość

cia życia. Reszta jest dopełnieniem.

Wszystkie skarby mądrości i umiejętności

Kolejnym odnalezionym przez nas „mędrcom” jest dr Maciej Burnecki, 44-letni matematyk z Politechniki Wrocławskiej. Na uczelni zajmuje się analizą funkcjonalną. I on, w swojej parafii na Muchoborze Wielkim, posługuje jako nadzwyczajny szafarz Komunii św. Broni się przed mówieniem o sobie. Uważa, że najważniejsze jest działanie Pana Boga. Do posługi szafarza też nie zgłosił się sam. Pewnie by tego nigdy nie zrobił, gdyby nie proboszcz z poprzedniej parafii.

Na co dzień nie rozmawia o swojej funkcji w Kościele, ale też się z nią nie kryje. Uważa, że nie ma co afiszować się ze swoją wiarą, bo czyni lepiej świadectwo i należy uważać, by gesty nie przesłaniały przesłania – przyznaje dr M. Burnecki – ważne jest, by być dobrym pracownikiem.

Pytany o możliwość dojścia do Boga drogami nauki, wyznaje: – Nieskończoność, o której mówimy w matematyce, różni się od nieskończoności Pana Boga. I dodaje: – Język jest ograniczony. Często zwracam uwagę na odmienne znaczenie słów. Te same określenia mają zupełnie inne znaczenie w matematyce, a inne w Piśmie Świętym, choć właśnie stamtąd są zaczerpnięte.

Według dr. M. Burneckiego, Pismo Święte należy czytać w takim duchu, w jakim zostało napisane. – Duch matematyki niekoniecznie nadaje się do czytania Biblii – przyznaje. – Hugo Steinhaus mówił, że matematyka jest pośrednikiem między naturą a duchem. Matematyka jest piękną dziedziną wiedzy, ale ma swoje ograniczenia i zbyt naukowe podejście do wiary może prowadzić na manowce – twierdzi matematyk. Wątpi, by przez matematykę, czy też inną dziedzinę nauki, można było dojść do wiary. – Matematyka odkrywa pewne prawdy świata, ale nie jest religią i nie zastąpi religii – twierdzi kategorycznie M. Burnecki.

– My, ludzie, nie tworzymy czegoś z niczego. Odkrywamy tylko to, co zostało stworzone przez Boga – przyznaje z pokorą wrocławski naukowiec. Pytany o rolę wiary w życiu wyznaje, że wiara jest dla niego źródłem, a nie dodatkiem do pracy. – W pokłonie Trzech Mędrców ze Wschodu, którzy byli biegli w swoich dziedzinach, to nie wielka nauka oddała pokłon Bogu – mówi. – Ten pokłon nie był z wysokości, ale z niską oddali hołd Temu Najwyższemu. Tak samo teraz naukowcy, którzy działają aktywnie w Kościele, nie robią tego z łaski czy po to, by coś komuś udowodnić, ale by służyć, bo w Jezusie są wszystkie skarby mądrości i umiejętności. ■

Jego zapału do życia mogliby uczyć się nie tylko niepełnosprawni. Od 50 lat wychowuje pokolenia harcerzy, jeździ na rowerze dookoła świata, biega na nartach, poluje, uprawia przydomowy ogródek. Jak mówi, **udało mu się pokonać swoją niepełnosprawność.**

tekst i zdjęcia

**ALICJA SZCZEPAŃSKA-
-SIKORSKA**

Siedemdziesięciosiedmioletni Bolesław Zajiczek w niewielkim, dolnośląskim miasteczku Milicz nie jest anonimową postacią. Codziennie przemierza ulice miasta na swoim rowerze, nie naturalnie pochylony nad kierownicą wyposażoną w dwie metalowe obręcze. Wielu mieszkańców zwraca się do niego po prostu „druh Bolek”. O sobie opowiadać nie lubi, rzadko też wraca do tragicznego wypadku, w którym stracił obie ręce i oko. Przedwojenna dyscyplina i ogromny hart ducha pozwoliły mu przezwyciężyć najgorsze chwile w życiu. – Priorytetem dla mnie było, aby żyć normalnie, jak każdy zdrowy, sprawny człowiek. I to mi się udało – mówi. Dlatego w swoim życiu nie nudziłem się nawet pięć minut.

Wszystko robi sam. Uprawia nawet swój przydomowy ogródek. Wykorzystując przeguby rąk, na które zakłada zwyczajne gumki od słózków, sprawnie macha grabkami czy motyczką. Dzięki gumkom korzysta także ze sztućców, bo, jak twierdzi, na wszystko jest sposób. –



Mimo niepełnosprawności trzeba próbować żyć jak każdy normalny człowiek. W miarę swoich możliwości, bez żadnych ulg – podkreśla.

Chciał walczyć do końca

Bolesław Zajiczek urodził się w 1930 roku w Złoczowie za Lwowem. Miał 9 lat, gdy wybuchła II wojna światowa. Rosjanie zajęli wschodnie tereny Polski, w tym jego rodzinne miasteczko. Potem przeżył okupację niemiecką, powrót Sowieców i miesiące tułaczki. – To był koszmar. Wciąż mam przed oczyma szeregi ludzi, w tym krewnych, pokornie ustawiających się do bydlęcych wagonów na Sybir. Jako dziecko byłem świadkiem ekshumacji wielu jeńców polskich, pomordowanych na za-

mku w Złoczowie. Te go widoku zapomnieć się nie da – wspomina pan Bolesław.

Do Milicza z rodziną dotarł w 1945 roku. Miał wtedy 15 lat. Rozpoczął naukę w I klasie gimnazjum oraz wstąpił do szkolnej 58. Drużyny Harcerskiej im. A. Mickiewicza, wzorowanej na harcerzach Szarych Szeregów, batalionu „Zośka” i „Parasol”. Cztery lata później rozwiązano harcerstwo, jednak milicka drużyna istniała nadal, działając już nielegalnie. Za patrona obrała sobie Orleża Lwowski. – Zbiórki odbywały się wieczorem lub w nocy. Część uczestników mieszkała w internacie, trzeba więc było wykraść się niepostrzeżenie z sypialni, pozostawiając w swoim łóżku

Bolesław Zajiczek pokazuje swoje zdjęcie z młodości – w mundurze harcerskim

kukłę, a potem równie niepostrzeżenie wrócić z powrotem – wspomina. Ryzykowali wiele. W tym samym czasie we Wrocławiu i Krotoszynie za działalność w podobnej organizacji młodych chłop-

ców skazano na karę śmierci. Jak mówi druh Bolek, zbierali się czasem całą drużyną jako kółko polonistyczne lub grupa koleżeńska. Na zebrania celowo zapraszali kilka osób nie należących do drużyny, aby zmylić ewentualnych obserwatorów UB. Działalność w harcerstwie była wtedy ukierunkowana na ćwiczenie charakteru i wysiłek fizyczny, na wychowanie patriotyczne oraz kultywowanie tradycji i obyczajów harcerskich. Harcerze gromadzili również broń na „wszelki wypadek”.

Życie bez ta

bez barier

ryfy ulgowej

Granat wybuchł mu w ręce

Jego koledzy jeszcze w czasie wojny ukryli w skrzyniach pod Tarnowem 200 granatów, łaskę dynamitu, rakiety oraz amunicję do broni ręcznej. Po skrzynie pojechali w 1951 roku w trójkę – pan Bolek i jego koledzy. Przewieźli je pociągiem i ukryli w pustym grobowcu w Miliczu. – Wiedzieliśmy, że z Sowietami nie wygramy. Byli przecież potęgą. Ciągle jednak miałem przed oczyma tych ludzi w Złoczowie pokornie idących na śmierć. Wtedy postanowiłem, że ja bez walki się nie poddam. Chciałem walczyć do końca – akcentuje.

Miesiąc później, na rozkaz drużynowej, pojechał wieczorem z kolegą na rowerze nad rzekę Barycz, by zdetonować granaty. – Pierwszy granat nie wybuchł w ogóle. Drugi, po wyjęciu zawleczonej, eksplodował od razu. Oszłomił mnie huk i błysk. Gdy się ocknąłem, spojrzałem na ręce. Pozostały z nich strzępy ociekające krwią – relacjonuje. – Ruszyłem w stronę wody, mówiąc do kolegi: „Uciekaj do domu, ja ze sobą skończę”, a on złapał mnie za kołnierz i krzyknął: „Ty głupcze, tacy też przydadzą się w Polsce”.

W szoku zaczęli uciekać. Biegli ponad kilometr do pierw-

szych zabudowań. W drodze kolega zawiązał mu opaski uciskowe. W szpitalu natychmiast amputowano mu obie ręce i zatajowano głęboką ranę w pachwinie. Oka nie udało się uratować. – Po operacji przyszedł do mnie ksiądz. Wypowiadał mi i powiedział: „Chłopcze, trzymaj się”. Te słowa słyszę do dziś – mówi.

Nowe życie

Miał wtedy niespełna 21 lat i całe życie przed sobą. Pozbierał się szybko dzięki swojej mamie. Jak wspomina, nie dawano mu większych szans na przeżycie, a on w czasie rekonwalescencji odbył pierwszy biegowy trening, cztery miesiące później zdobył 1. miejsce w wojewódzkich zawodach międzyszkolnych w biegu na 1000 m. – Przed wypadkiem w lekkoatletycznych mistrzostwach powiatu często zdobywałem pierwsze miejsca, za wyjątkiem skoku wzwyż. Sport lubiłem od najmłodszych lat. Później byłem szefem Powiatowego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki w Miliczu – wylicza.

Od tamtego wypadku organizacja harcerska, w której działał, przestała praktycznie istnieć. Przywieziona z Tarnowa broń okazała się niemiecką pułapką. Rok później koledzy wrzucili ją do Baryczy.

W służbie innym

W 1958 roku założył 6. Drużynę Harcerską „Baryczanie”, którą prowadzi wspólnie z drużyną Teresą Radecką prawie 50 lat. Od wielu lat ich harcówka mieści się w milickiej szkole podstawowej. Podczas przerw dzieci chętnie tu zaglądają, aby pograć w bilard, piłkarzyki czy na herbatkę.

Z harcerzami, których wychował całe pokolenia, jeździ na biwaki, obozy, organizuje zabawy i wycieczki oraz angażuje się w wiele akcji, jak na przykład zbieranie puszek. – W ten sposób dbamy nie tylko o środowisko, ale również, sprzedając puszki, zbieramy pieniądze na wycieczki po kraju. Chcę pokazać dzieciom, jaka piękna jest Polska. I nauczyć miłości do swojej Ojczyzny. Uczę ich także, jak być dobrym człowiekiem – podkreśla.

Młodzi harcerze uczą się od swojego druha również, jak pomagać bliźnim. Drużyna włączała się w wiele akcji charytatywnych, przez kilka lat zbierała też pieniądze na odbudowę Cmentarza Orłąt Lwowskich. Wspólnie z druhem Bolkiem harcerze uczestniczyli w krajowych pielgrzymkach papieża Jana Pawła II. W milickim powiecie nie ma uroczystości kulturalnych i kościelnych bez ich udziału. Uczestniczą zarówno

w większych, jak i mniejszych wydarzeniach miasta.

Objechał świat

Rower to dla druha Bolka środek transportu i pasja. Na początku lat 90. ub. wieku dowiedział się o Światowej Federacji Sportu Niepełnosprawnych i organizowanym przez nich rajdzie dookoła świata. Pojechał. Z Irlandii na rowerze pokonał trasę do Paryża. A potem w Wiedniu do Moskwy. Spisał się dobrze, więc Federacja zasponsorowała mu wyjazd do USA. Przejechał je całe od Los Angeles do Waszyngtonu. W 1996 roku uczestniczył w rajdzie dookoła Białorusi, upamiętniającym 10. rocznicę wybuchu reaktora atomowego w Czarnobylu. Rok później, wspólnie z kolegą Bernardem Mikołajczykiem, przejechał 488 km dla uczczenia pielgrzymki papieża Jana Pawła II na Dolnym Śląsku. We wrześniu 2002 i 2003 roku na kolejny rajd pojechał do USA. Ku czci ofiar ataku na World Trade Center z grupą 3 tys. rowerzystów z całego świata pokonał trasę z Nowego Jorku do Waszyngtonu. Od lat uczestniczy w różnych ogólnopolskich zawodach, towarzyszy też uczestnikom najrozmaitszych biegów – 100 km maratonów i maratonów klasycznych. Dwukrotnie, za zgodą Czesława Langa, przejechał przed kolarzami całą trasę Tour de Pologne. W zimie z harcerzami od lat jeździ na Bieg Piastów, Gwarków czy Skalnika. Zarówno w domu druha, jak i w harcówce „Baryczan” półki uginają się od pamiątkowych medali, pucharów, okolicznościowych gadżetów czy dyplomów. – Nie rozumiem tych ludzi, co siedzą całe dni pod przysłowiową budką z piwem. I tak życie przechodzi im koło nosa. Nie chciałbym nigdy tak spędzić życia – mówi stanowczo.

Bardzo cenna jest dla niego statuetka „Człowiek bez barier”, którą otrzymał dwa lata temu w Warszawie. Bolesław Zajczek jest jednym z 26 laureatów ogólnopolskiego konkursu organizowanego przez Stowarzyszenie „Integracja”, które nagradza aktywnie działających ludzi niepełnosprawnych. Jak podkreśla, największym jego sukcesem jest to, że wygrał życie. Wygrał, bo pokonał własną niepełnosprawność. ■

Druh Bolek ze swoją młodą drużyną



„Złote Pióro”, laptop i wycieczka dla wrocławskiej gimnazjalistki Karoliny Matczak

Polska mnie potrzebuje...

— Początkowo chciałam pisać konkursową pracę na temat: „Nasze pokolenie – rodzice XXI wieku” – zwierza się laureatka tegorocznej III edycji Konkursu Literackiego „My Polacy, my Dolnoślązacy” o Laur „Złotego Pióra”.
— W końcu jednak wybrałam rozważania o naszym zakorzenieniu w dolnośląskim mikrokosmosie.

Ten właśnie temat okazał się szczęśliwy dla Karoliny Matczak, uczennicy klasy III c, Gimnazjum nr 11 we Wrocławiu. Podzieliła się refleksjami, które zrodził konkursowy temat: „Ojczyzna – kiedy myślę – wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam» (Jan Paweł II). O naszym zakorzenieniu w dolnośląskim mikrokosmosie”. – Nie opisywałam prawdziwych wydarzeń – wyznaje autorka. – Jednak bardzo identyfikuję się z fikcyjną bohaterką tej wymyślonej historii, jej odczuciami, tęsknotami.

To pierwszy wygrany konkurs Karoliny, która niedawno odkryła swoje literackie zainteresowania i chce je rozwijać. Laureatka nie mogła przybyć na Galę w Ratuszu wrocławskim, kończącą tegoroczny konkurs, organizowany przez salezjańskie LO i naszą redakcję, więc nagrodę otrzymała w siedzibie sponsora – Południowo Zachodniej SKOK. Złote pióro ufundowane przez

min. Kazimierza M. Ujazdowskiego oraz zaproszenie na wycieczkę do Wiednia, Wenecji i Słowenii – dar ks. Bolesława Kaźmierczaka, inspektora salezjańskiej Prowincji św. Jana Bosko we Wrocławiu, wręczył jej dyrektor salezjańskiego LO ks. Jerzy Babiak. Natomiast laptop otrzymała z rąk jego fundatora prezesa PZ SKOK Mariana Skutnika. Obaj życzyli jej dalszych sukcesów literackich. A oto obszerniejsze fragmenty nagrodzonej pracy.

Wszędzie dobrze?

Dzień. Słońce spokojnie przesuwa się po horyzoncie, robi się coraz ciemniej, za oknem widać złote liście, spadające z drzew, toczące się po brudnym, mokrym asfalcie. Jesień. Uwielbiam tę porę roku, ten lekki powiew wiatru na twarzy, gdy wychodzę na spacer i po raz enty przechodzę obok tych samych bloków, tych samych starych, zniszczonych klatek schodowych. Czasem, gdy nie chce mi się dalej iść, siadam na murku z czerwonych cegieł, tuż obok pustego budynku, który owiany jest mgłą tajemniczy. (...) Zastanawiam się nad swoim przyszłym losem. Pójdę do liceum, zdam maturę, to oczywiście. Będę zdawać na studia, waham się między polonistyką a germanistyką, ale to drugie chyba wiąże się z wyjazdem zagranicę? Nie dam się wpędzić w pułki stereotypy, że „wszędzie jest dobrze, tylko nie w Polsce”. Nie dam mydlić

sobie oczu wysokimi płacami, fantastycznymi warunkami i groźbami typu „jesteś młoda, uciekaj, tutaj nic nie osiągniesz!”. – Osiągnąć można prawie wszystko, gdy tylko się tego naprawdę chce (...).

Obcyczna

Zbliżam się do domu, (...) czuję lekki powiew wiatru, a za chwilę delikatne krople deszczu. Wiatr się wzmacnia, liście mokną, ich kolor się zmienia (...). Szybko wbiegam do bramy, zdejmuję kaptur i powoli zmierzam ku drzwom. (...) Siadam w fotelu, w pokoju rodziców, z kanapką w dłoni i zastanawiam się, jak zabić czas, który pozostał do ich przyjścia. Udziela mi się nostalgiczny nastrój, jest dopiero siedemnasta, a na dworze już mrok. Może ktoś zarzucił na nas czarne, grube płótno? Blask latarni kontrastujący z czernią nieba razi w oczy, wiatr delikatnie postukuje w szyby (...). Wyciągam albumy ze zdjęciami. Lubię wspominać. (...) Przesuwam między palcami małe, przyjemne w dotyku, śliskie kartoniki i oglądam swoją rodzinę, znajomych i siebie. (...) Dochodzę do wniosku, że na zdjęciach z zagranicy wyglądam gorzej – widać na mojej twarzy dziwny grymas, który pierwotnie miał przypominać uśmiech. Widocznie Polska mnie potrzebuje i tutaj czuję się najlepiej – mówię cicho, zamykając ostatni album i słysząc nerwowy szmer w zamku.



JOLANTA SĄSIADK

Wrócili rodzice. Niby nie powinno mnie to dziwić, ale nigdy nie wracali razem. – Może się umówili po pracy? – próbuję samą siebie uspokoić (...). Widząc moje zniecierpliwienie, odezwał się ojciec: – Przeprowadzamy się... – zaczął niepewnie, przysuwając do siebie kubek z miętową herbatą, którą przed chwilą zaparzyłam z nadzieją, że nic złego się nie stanie. Serce mi drgnęło, wnętrzości zaczęły krzyczeć: nie ma mowy! nie wyjadę stąd!, ale ciało pozostało w bezruchu, nawet nie mrugnąłem okiem. (...) Dokąd? – zapytałam obojętnym tonem, czując, że cisnąć się do oczu łyż rozszadzą mi czaszkę. – Do Niemiec, do Berlina, dostałem tam pracę, wysokie zarobki, mamy załatwione mieszkanie. (...)

Powrót

Minęło 5 lat. Jestem dorosła, dobrze nam się powodzi, ojciec faktycznie zarabia dużo więcej niż w Polsce. Poznałam wielu nowych ludzi, mój niemiecki jest fantastyczny, wsiąknęłam w kulturę niemiecką jak woda w gąbkę. Zapinam torbę, zakla-

Nagrodę wręczyli laureatce (od lewej) ks. J. Babiak i M. Skutnik

dam pośpiesznie buty, żegnam się z rodzicami, mama oplata mnie szalikiem. (...) W rękę trzymam bilet, gniotę go lekko, strach miesza się ze szczęściem, obawy z podnieceniem, chociaż najwięcej we mnie radości. Der Zug Berlin-Breslau fährt vom Bahnsteig 5 in 5 Minuten ab – słyszę i wsiedlam do pociągu, który zawiezie mnie tam, gdzie moje miejsce. (...)

Znów jestem u siebie. Marzenia powróciły, nadal mam plany do zrealizowania i nie mam już dylematu między germanistyką a polonistyką. Wybieram to drugie, niemiecki będzie moją cichą pasją. Usta się śmieją, oczy płaczą. Rozglądam się po domu, nic się nie zmieniło, nawet szklanki na dolnej półce ustawione są tak samo jak przedtem. (...) Jednak spełniłam moje dziecięce obietnice, nie rzucałam słów na wiatr i wróciłam (...). Każdy ma gdzieś swoje miejsce na świecie – moim jest Polska, Dolny Śląsk, Wrocław.

A za oknem widać złote liście, spadające z drzew, toczące się po brudnym, mokrym asfalcie...

Opracowanie JOLANTA SĄSIADK